



MAM NA IMIĘ

Futura

Damian Dibben

ALBATROS

Tytuł oryginału:
TOMORROW

Copyright © Damian Dibben 2018
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2019

Polish translation copyright © Janusz Ochab 2019

Redakcja: Anna Walenko

Projekt graficzny okładki i obwoluty: Kasia Meszka

Ilustracje na okładce i obwoluty: dezy/Shutterstock (*pies*);
Canicula/Shutterstock (*most, walizka*); Ka_Li/Shutterstock (*wiatrak*);
omnimoney/Shutterstock (*pistolet*); AlexHliv/Shutterstock (*kompas*);
George J/Shutterstock (*zegarek*); Everilda/Shutterstock (*gondola*);
AVA Bitter/Shutterstock (*statek*); RomIng/Shutterstock (*powóz*)
AlsuSh/Shutterstock i Lumitar/Shutterstock (*ślady*)

Ilustracje w środku książki: Penguin Random House UK

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Prolog I

Pałac Elsynor, Dania 1602

Ta podróż przez wiele żywotów zaczęła się całkiem zwyczajnie: zbierałem razem z nim ostrygi na brzegu. Lubił je bardziej niż jakiekolwiek inne jedzenie, uwielbiał rytuał otwierania szorstkich muszli, by odkryć ukryty w ich wnętrzu skarb, gładki alabaster i niematerialny płyn. Kiedy się nimi zajadał, ulegał fizycznej przemianie: opuszczał ramiona, przestawał marszczyć czoło, a jego oczy łagodniały, czasami bliskie łez.

– Będziemy dziś mieli szczęście – powiedział, wkładając buty. – Poziom wody podczas tego odpływu jest wyjątkowo niski. Tak niski, że moglibyśmy niemal przejść do Szwecji. – Zdjął z wieszaka pelerynę, strzepnął ją i związał pod szyją, przerzucając cały jej ciężar na plecy. – Mam też przeczucie... – Odryglował zasuwę u drzwi i otworzył je na całą szerokość. – Tak, jest jeszcze całkiem jasno. – Gdy uświadomił sobie, że za nim nie idę, zatrzymał się i odwrócił, przekrzywiając głowę. Jego sylwetka rysowała się w drzwiach niczym znak zapytania.

– Gdzie jesteś, mój czempionie?

Do tej pory na wspomnienie jego głosu – miękkiego i łagodnego jak leśny wąż – serce pęka mi na pół niczym pusta łupina.

Stałem w cieniu, ukryty do połowy za grubymi nogami stołu w wielkiej sali. Można by sądzić – z odległości połowy kontynentu i kilku wieków – że gnębił mnie niezrozumiały lęk, ponure przecucie tego, co znajdziemy na mulistych równinach w dole, ale w rzeczywistości nie odczuwałem niczego podobnego. Nie powstrzymywała mnie też bezczelność ani ślepy upór: wtedy nie znałem jeszcze tych cech. Nie, kierowały mną znacznie bardziej przyziemne powody. Szukaliśmy już ostryg rankiem, a zbliżał się wieczór. Nastał czas, by rozpaść w kominku w wyłożonym boazerią salonie albo w pałacowej bibliotece, bym usiadł obok niego i poczuł przyjemne ciepło opływające moją sierść, podczas gdy mój pan będzie przeglądał księgi i przemawiał do mnie łagodnym tonem.

Odnalazł mnie w cieniu, a kąciki jego oczu zmarszczyły się lekko w uśmiechu.

– Hej, w czym problem? – Podeszedł do mnie, uklęknął i zmierzwił mi sierść na karku, a ja zadrżałem ze wstydu. – Do czego dojdziemy w życiu, jeśli będziemy się chować po kątach? Tylko w świecie na zewnątrz znajdziemy odpowiedzi. I radość. I ostrugi, mój czempionie.

Roześmiał się, wstał i ruszył do wyjścia. Tym razem poszedłem za nim.

Na zewnątrz od razu poczułem się lepiej. Ciepły wiatr niósł ze sobą zapachy z wyspy, słodki aromat sosny, rozrzutki i dzikiego tymianku. Uświadomiłem też sobie, że do zmroku

jeszcze daleko – łagodne, różowoczerwone słońce dopiero zniżało się nad horyzontem. Wyprostowałem grzbiet i nastawiłem uszu, przez chwilę wodząc wzrokiem od murów zamku do otwartego morza. W tym czasie nie znałem jeszcze żadnych innych miejsc prócz miasteczka Elsynor i tutejszego zamku. Nie przeczuwałem nawet, że zostanę tułaczem, wędrującym od pałacu do pałacu, a potem od pola bitwy do pola bitwy. Pamiętam jednak, że tamtego wieczoru byłem wdzięczny losowi za mój dom, mojego towarzysza i szczęśliwe życie.

Wyczuł zmianę w moim nastroju i znów się roześmiał.

– Więc wróciłeś do mnie, mój wirtuozie, który nie masz niczego prócz wrażliwości? – Podniósł wiaderko i wylał z niego deszczówkę, po czym razem zeszliśmy po kamiennych schodach prowadzących na brzeg. – Spójrz, mój czempionie, morze prawie całkiem nas opuściło! Jak miło z jego strony, że zechciało się podzielić swoimi skarbami.

Przed nami rozciągała się bezbrzeżna równina srebrnego wilgotnego piasku, która niknęła w odległym zamglonym horyzoncie.

Już po chwili znalazł skupisko muszli, przykucnął, wyjął z kieszeni nóż i oddzielił jedną od reszty. Zważył ją w dłoni i obejrzał ze wszystkich stron, mrużąc raz jedno, raz drugie oko.

– Może jest wobec nas trochę zbyt nieśmiała? A może to my jesteśmy zbyt szorstcy.

Wyciągnął muszlę w moją stronę. Nie przepadałem wtedy za ostrygami, tak jak i nie przepadam dzisiaj – ich słonawy smród zawsze zatyka mi nozdrza – ale z czystej uprzejmości przesunąłem obok niej pyskiem, na co on znów zareagował

rozbawionym chichotem.

– Zgadzam się całym sercem. To małeństwo. Zwrócimy ją rodzinie i będziemy jej życzyć powodzenia. Chodźmy dalej. Poszukajmy odważniejszych, soczystszych, takich, jakie naprawdę uwielbiam.

Ruszyliśmy dalej, w głąb morza. Piasek pod naszymi stopami zrobił się twardszy, zimniejszy i wilgotniejszy, niczym nie do końca zastygły beton. Zmieniła się również pogoda: z północy nadciągnęła chłodna bryza. Wydawało się, że pozbawiła kolorów słońce i niebo, którym nadała taki sam srebrzysty, jednolity odcień jak odsłoniętemu dnu, tym samym zacierając kontury. Wyglądało to tak, jakbyśmy trafili do jednej z tych scenografii operowych, które widziałem w późniejszych etapach swojego życia – alternatywny świat zamknięty w obramowaniu sceny, w gwałtownie kurczącej się perspektywie, gdzie dwie postacie wędrują przez bezkresny krajobraz.

Nim mój pan znalazł większe ostrzygi, zaczął je odcinać i wrzucać do wiadra, nastrój znowu mi się odmienił. Spojrzałem na pałac. Wydawał się ponury, pozbawiony życia. Prócz okien komnat położonych blisko kuchni w całym budynku zalegały ciemności. Większość królewskiego dworu wyjechała stąd na zimę. Choć mój pan starał się trzymać mnie z dala od dworskiego zgiełku, gdy król jeszcze tu przebywał, bo byłem wtedy niezdatnym szczeniakiem, cieszyła mnie atmosfera zabawy wypełniająca główny budynek, nieustanna krzątanina, zapachy potraw, radosne piski bawiących się dzieci, głosy służących i szambelanów, dźwięki lutni i klawesynów, wybuchy śmiechu. Teraz prócz starej królowej – dla której został tu mój pan, na wypadek gdyby się rozchorowała – w zamku mieszkali

tylko najposępniejsi członkowie służby: srodzy strażnicy, praczki ukryte zawsze za rzędami suszących się tkanin, nocni dozorczy z wielkimi pękami kluczy. Odwróciłem się ponownie do mojego pana w nadziei, że skończył już pracę, lecz on stał wyprostowany jak struna, z szeroko rozpostartymi rękami. U jego stóp leżało na boku porzucone wiadro.

– Tsss... – syknął, gdy podbiegłem do niego.

Wypowiedział to tak ostrym tonem, że odruchowo położyłem uszy po sobie, zastanawiając się, czy zrobiłem coś złego. On jednak wbijał wzrok w kamienną wysepkę, znajdującą się w pewnej odległości przed nami. Zwykle kryła się pod wodą, lecz wyjątkowo duży odpływ odsłonił ją teraz całą. Silniejszy podmuch wiatru na moment wydał skałę z jednej strony, nadając jej kształt półksiężyca. Wystraszony, spojrzałem na swego pana, on jednak niczego mi nie wyjaśniał ani nie próbował nawet mnie uspokajać. Wciąż nie odrywał wzroku od kamienia. Wiatr pochwycił ze świstem drobiny piasku i poniósł je w naszą stronę. Bok skały znów nabrał pełniejszych kształtów, tym razem jednak zrozumiałem, że w rzeczywistości porusza się ukryty za nią przedmiot: żagiel.

– Kto tam?! Kto tu jest?! – zawołał mój pan surowym tonem, a ja szczechnąłem. Mocno ujął w dłonie moją głowę. – Cichutko, słyszysz? Ani mru-mru.

Ruszył naprzód, zbliżając się ostrożnie do skały, aż zobaczyliśmy ukryty za nią wrak: łódź leżącą na burcie, z żaglem rozciągniętym między masztem a rufą i z wielką dziurą w dolnej części kadłuba. Kolejny silny podmuch wiatru tym razem przyniósł ze sobą kwaśny smród amoniaku, który podrażnił mi nozdrza.

Na piasku leżały dwie przewrócone skrzynki, jedna cała, druga rozbita na mniejsze części. Z jej wnętrza wysypały się kolorowe jak tęczą szklane fiołki. Mój pan odwrócił nieuszkodzoną skrzynkę, stał błoto z osłony zamka i niemal podskoczył ze zdumienia.

– Z Opalheim. – Spojrzał na mnie, dziwnie mrużąc oczy.
– Płynął z Opalheim.

Później słyszałem tę nazwę wielokrotnie i zawsze towarzyszyło temu poczucie nieuchronnej potężnej katastrofy. Herb ukazywał trzy wieże z blankami pod sierpem księżyca. Mój pan przesunął dłońmi nad kolorowymi buteleczkami, ale nie podniósł żadnej z nich. Wyglądały tak samo jak pojemniki, które trzymał w swojej pracowni, wypełnione różnymi proszkami lub metalami.

– Kto tam jest, pytam?! – zawołał ponownie, tonem, który później poznałem jako jego bitewny głos, odpowiedziało mu jednak tylko skrzypienie lin, trzepot żagla i charakterystyczny ostry zapach rozkładu.

Wtedy znałem już nieco tę woń za sprawą martwych mew czy szczurów, ale nigdy jeszcze nie była tak mocna i tak wyraźna. Mój pan również musiał ją poczuć, bo dłonie mu zadrżały, a nad jego ciałem uniosła się ledwie wyczuwalna woń strachu. Obeszliśmy łódź i zobaczyliśmy trupa leżącego po drugiej stronie, z nogami wpłatanymi w liny i podniesionymi w kierunku masztu, a tułowiem i głową zanurzonymi na poły w mule. Kiedy łódź poruszała się lekko do przodu i do tyłu, smagana wiatrem, ciągnęła za sobą bezwładne ciało. Mój pan potarł dłonią policzek, naciągając skórę.

– Co mamy zrobić, mój czempionie? – rzucił do mnie, a

potem nieco ciszej, z nutą nadziei, jak mi się wydawało, spytał trupa: – Więc teraz jesteś martwy, tak?

Wziął się w garść, wyprostował ramiona, podszedł do ciała i odwrócił je na plecy. Jego twarz natychmiast się wypogodziła, z oczu zniknął strach, a z ust wyrwało się westchnienie, które zabrzmiało jak śmiech, choć nie wiedziałem, czy był to wyraz ulgi, czy rozczarowania.

– Kurier – powiedział. – Kiedy zobaczyłem intaglio, trzy wieże, pomyślałem... A to tylko kurier. Biedak. Utonął. Kurier, który wiozł dla mnie przesyłkę, to wszystko. Zamawiałem te rzeczy tak dawno, że niemal o nich zapomniałem. – Znów ten dziwny śmiech. – Ten sztorm, pamiętasz? Kiedy to było? Tydzień temu? To tylko posłaniec wiozący mój stary zbiór medykamentów, biedaczysko.

Stałem tak blisko trupa, że smród zatykał mi nozdrza i gardło. Topielec wyglądał okropnie, jego twarz i piersi były monstrualnie rozdęte, na rozwarstwionej skórze rysowały się ciemne linie żył. Z białych ust wystawał czarny jak węgiel język, a oczy przypominały jasnoszare szkło.

– Co z nim zrobimy? – spytał mój pan. Spojrzał na fale, które już pojawiły się w oddali. – Jeśli zaciągniemy go do wody, przyplływ i tak wyrzuci go na brzeg. To nie jest dobry koniec dla człowieka. Nie dla dobrego człowieka. – Otrząsnąwszy się ze strachu, znów był spokojny i pragmatyczny, taki, jakim zawsze go znałem. – Postąpię jak Rzymianie. – Zerknął na słońce, które już w połowie skryło się za horyzontem. – Szybko, mój drogi, wkrótce będzie ciemno.

Ruszył pospiesznie w stronę domu, lecz ja zostałem przy zwłokach, zdjęty obrzydzeniem i fascynacją jednocześnie.

Trup był nieżywy w prawdziwym tego słowa znaczeniu, nie oddychał, ale wydawało się, że w pewnym sensie istnieje z większą siłą niż ludzie, których dotąd spotkałem. Może dlatego, że rozkład jest najbardziej zjadliwą formą życia, a może dlatego, że nic nie mówi o fenomenie „bycia” dosadniej niż jego brak.

– Nie zostawaj z tyłu! – dobiegło mnie wołanie mojego pana, niesione wiatrem.

Był już w połowie drogi do domu, jego peleryna kołysała się z boku na bok, gdy omijał kałuże. Pobiegłem za nim.

Otworzył ramieniem drzwi i wpuścił mnie do środka.

– Poczekasz na mnie tutaj, jasne?

Posłuchałem go, choć niechętnie, i zatrzymałem się w nieoświetlonym holu, podczas gdy on poszedł w głąb korytarza. Chciałem się położyć, lecz podłoga była zimna, przysiadłem więc tylko i zacząłem strzyc uszami, wsłuchując się w brzęk metalu i skrzypienie drewna dochodzące z pomieszczenia na buty. Po chwili mój pan powrócił, niosąc ciężki stół oraz hubkę i krzesiwo. Kiedy mnie mijał, poczułem zapach oliwy do lamp i łoju.

– Czekaj tu, zaraz wracam – rzucił w moją stronę i zatrzaskał za sobą drzwi.

Serce podeszło mi do gardła. Słyszałem kroki zmierzające ponownie ku plaży. W holu zrobiło się jeszcze ciemniej. Chodziłem od ściany do ściany, tłumacząc sobie, że nie ma się czego bać, że mój pan wkrótce wróci do domu i wszystko będzie dobrze – lecz strach wciąż narastał. Zerknąłem na posąg stojący u podstawy schodów, do którego czasami przemawiał mój pan, starą figurę ogara o smutnych oczach, wyrzeźbioną

w marmurze (to niezwykle, że ludzkie dłonie ukształtowały tak udanie tę wychudzoną sylwetkę); ogar miał łeb zwrócony ku zbliżającemu się z tyłu mężczyźnie w łachmanach. „Dzień dobry, Argosie – mówił mój pan, głaszcząc kamienną głowę psa. – Naprawdę bardzo cierpliwie czekałeś na jego powrót”.

Musiałem zobaczyć, co robi mój pan, przemknąłem się więc bocznymi drzwiami do głównej części pałacu i wbiegłem po schodach na długą galerię. Byłem tu już kiedyś, latem, gdy budynek tętnił życiem. Teraz zaludniały ją tylko posągi.

Wskoczyłem na krzesło i oparłem się o parapet, znad którego rozciągał się widok na morze. Dostrzegłem mojego pana, ciemną sylwetkę przesuwającą się po nieruchomej srebrzystej połaci odsłoniętego dna. Zatrzymał się tuż za skalną wysepką i przez chwilę kręcił się wokół wraku łodzi, a potem w górę wystrzelił złoty płomień. Jego blask skrzył się w szybie okna. Mój pan palił ciało. Pamiętam wciąż – zupełnie jakby to było wczoraj – że gdy ogień płonął z największą mocą, strach skręcał mi wnętrzności.

Mój pan czekał cierpliwie, aż płomienie przygasną, i dopiero wtedy ruszył z powrotem do domu. Zeskoczyłem na podłogę i spojrzałem na zgromadzone dokoła posągi: brodatego kolosa walczącego z morskim potworem, młodą damę na szezlongu, sięgającą po lirę, i starego mędrca z otwartą księgą w dłoniach. Wieczorny mrok zniekształcał ich kontury, sprawiając wrażenie jakiegoś potwornego życia. Wisiały tu też obrazy, jeszcze bardziej sugestywne podobizny ludzi, pozory stworzone za pomocą płótna i farb: szlachcic w płaszczu z futrzanym kołnierzem, z pustułą na ramieniu, stara kobieta wciśnięta w karminową suknię, młodzieniec ubrany na czarno,

trzymający w dłoni czaszkę. Wtedy, dawno temu, miałem dopiero odbyć liczne podróże, poznać majestat i grozę miast, zobaczyć wojnę na własne oczy – poczuć smród gorącego metalu i rozlanej krwi – czy też stracić drogiego mi przyjaciela. Miałem się też przekonać, jak mijają kolejne stulecia, kiedy ja wciąż żyję. To miało dopiero nadejść. A jednak w tamtej chwili, pośród tych upiornych postaci, odczuwałem w jakiś sposób ciężar tych wszystkich rzeczy. Noc wypełniła komnatę mrokiem, a moje serce przerażeniem – aż w końcu usłyszałem, jak mój pan wchodzi do zamku. Popędziłem co sił w nogach na dół, przesadzając po dwa stopnie naraz. Mój pan włożył do jednej ze skrzynek kolorowe fiolki, które leżały rozrzucone na piasku, i teraz postawił ją ostrożnie przy drzwiach. Skoczyłem ku niemu, witając go radosnym szczekaniem i próbując polizać po twarzy.

– Ileż to zamieszania! Jakież zamęt – powiedział, choć on również zdawał się wystraszony.

Przeszedłem za nim do pomieszczenia na buty i obserwowałem w półmroku, jak myje ręce, potem zaś udaliśmy się obaj do salonu, gdzie zapalił świece i zamknął okiennice. Nim zatrzaskała ostatnią z nich, znieruchomiał na moment i spojrzał w stronę skalnej wysepki, jakby wciąż obawiał się tego, co mógłby tam odkryć.

– Wszystko będzie dobrze, prawda? – spytał, klękając i ujmując w dłonie moją głowę. – Jesteśmy zadowoleni z naszego życia, prawda?

Ton, jakim wypowiedział te słowa, jego gwałtowna intensywność, na nowo rozbudził we mnie niepokój. Od razu pomyślałem o zwłokach, o tłuszczu trawionym przez ogień

i czerniejących w żarze kościach. Pomyślałem o posągach i obrazach w mrocznej pałacowej galerii – o brodatym kolosie, półleżącej damie, młodzieńcu z czaszką – i odniosłem wrażenie, że wszyscy oni również należą do świata zmarłych. Dopiero gdy mój pan rozpałił ogień w kominku i obaj rozsiedliśmy się w bijącym od płomieni cieple – on na fotelu, a ja u jego stóp – dopiero gdy rozgrzał się kamień pod moim ciałem, serce zaczęło mi się uspokajać.

– Nie! – powiedział nagle, po czym usiadł prosto i rozejrzał się. Podniosłem głowę ku drzwiom, ciekawy, co takiego usłyszał. – Ostrygi. – Westchnął. – Zostawiłem je na plaży. I nasze wiadro też. Przyptyw je zabierze. – Wzruszył ramionami i opadł z powrotem na fotel. – Nieważne. Jutro znów się tam wybierzemy. Może znajdziemy jeszcze ładniejsze sztuki.

Obserwowałem go kątem oka, gdy zasnął, a ręce osunęły mu się bezwładnie. Dopiero wtedy przypomniałem sobie jego dziwne zachowanie na plaży. „Więc teraz jesteś martwy, tak?”, spytał dziwnym głosem, jakiego jeszcze nigdy u niego nie słyszałem. Zastanawiałem się, kogo oczekiwał.

Wkrótce miałem się dowiedzieć.

Prolog II

Whitehall, Anglia, pięć lat później

Czekaliśmy w zimnej stróżówce, aż wyszła nam na spotkanie kobieta w średnim wieku.

– Tak? – spytała ostrym tonem.

Była chuda jak patyk i cała ubrana na czarno, w dłoni ścisnęła wielki pęk kluczy.

Mój pan zdjął czapkę i uśmiechnął się.

– Naprawdę mnie pani nie pamięta?

Kobieta w czerni aż zachłysnęła się ze zdumienia.

– Niemożliwe. Znikający lekarz.

Mój pan ponownie obdarzył ją uśmiechem.

– Wybacz, Margaret, że posłałem właśnie po ciebie, ale odkąd byłem tu ostatnio, minęło ładnych parę lat, więc nie wiedziałem, czy został jeszcze ktoś z tamtych czasów.

– No tak, ja zawsze tu zostaję. Jeśli mnie zabiorą, to dopiero w trumnie. – Spojrzała z niedowierzaniem na mojego pana. – Ile to już minęło lat? Czternaście?

– Dwadzieścia dwa.

Kolejne, pełne zdumienia westchnienie.

– Kłamiesz. Nic się nie zmieniłeś, a ja jestem starą panną.

– Bzdura, bzdura.

Śmiech.

– Tym razem masz towarzysza, tak? – Spojrzała na mnie i odruchowo pomachałem ogonem. Od razu ją polubiłem: biła od niej energia. – Proszę, jaki przystojny młodzieniec. I wygląda, jakby cały czas się uśmiechał.

– O tak – przyznał mój pan. – Uśmiecha się bez przerwy, ten mój czempion. Ma uśmiech dla każdego.

Komplement sprawił, że zacząłem machać ogonem dwa razy szybciej.

– Ponad dwadzieścia lat, naprawdę? – Margaret westchnęła. – Ależ ten czas leci... Gdzie to cię nosiło?

Mój pan przygryzł lekko wargę, jak zawsze gdy zastanawiał się, co ma powiedzieć.

– Przyjechałem... Przyjechaliśmy z Danii. A wcześniej mieszkalem we Florencji. Przez chwilę też w Madrycie. I jeszcze w innych miejscach. – Wzruszył ramionami. – Życie to niekończąca się podróż, prawda?

Nie wiem, czy Margaret się z tym zgadzała, ale uśmiech nie opuszczał jej twarzy.

– A teraz?

– Whitehall? Jeśli jest tu zapotrzebowanie na moje skromne usługi. Może trudno w to uwierzyć, ale stęskniłem się za Londynem.

Margaret nie kryła radości.

– Mogłabym się z tobą trochę podroczyć, ale nie będę tego robić. Bardzo brakowało mi twoich lekarstw, a teraz

potrzebuję ich bardziej niż kiedykolwiek. Znajdę ci pracę. Co prawda mamy nową dynastię, ale jak pewnie zauważyłeś, nadal noszę klucze. Wejdźcie, ty i twój sympatyczny towarzysz, ten ziąb jest okropny.

Gestem wskazała, byśmy przeszli dalej, ale mój pan zawahał się na moment.

– Powiedz mi najpierw: czy ostatnimi laty szukał mnie tu pewien dżentelmen?

– Dżentelmen?

– Pytam z czystej ciekawości, bo nie spodziewam się, żeby tu zaglądał, ale ty zawsze wiedziałas o wszystkich odwiedzinach...

– Nie przypominam sobie nic takiego. To jakiś problem?

– Nie, wcale nie. – Choć mój pan sam poruszył ten temat, teraz chyba tego żałował. – To mój były partner w interesach, sprzed wielu lat, aptekarz jak ja.

– Jeszcze jeden aptekarz? Ekscytujące. Jak wygląda?

– To naprawdę nieistotne. Odwiedził mnie tutaj kiedyś, dawno temu, więc pomyślałem, że może go pamiętasz, ale... wybacz. To była długa podróż. Jestem okropnie zmęczony. I masz rację, rzeczywiście jest okropnie zimno. Prowadź, proszę.

Margaret przeprowadziła nas przez czworokątny dziedziniec. Pałac w Elsynorze wydawał się skromny w porównaniu z Whitehall, który przypominał wielką jasną górę holi, wież, kolumnad, okien z kolorowymi witrażami i dachów zdobionych tysiącem kwiatonów.

– Oczywiście słyszałeś wieści, prawda? O królowej. To już cztery lata, a ja mam ciągle wrażenie, że zaraz tu wpadnie i nawrzeszczy na mnie. – Zniżyła głos do szeptu. – Może gdybyś

był wtedy na dworze, ona nadal by żyła. Nie chciała słuchać, kiedy odradzaliśmy jej stosowanie cerusytu. To właściwie on ją zabił. Nie muszę ci chyba mówić, że jej śmierć wyglądała jak koniec jakiejś ponurej, niesamowitej sztuki. Kazała usunąć wszystkie lustra w pałacu Richmond i leżała przez całe dni na usłanej poduszkami podłodze, trzymając palec w ustach, jak małe dziecko. Nie zdejmowała też ani na chwilę tej swojej groteskowej peruki. W końcu powiedziała: „Nie chcę już dłużej żyć, pragnę umrzeć”. I tak zrobiła.

– Nie da się o niej łatwo zapomnieć.

– To prawda. No a potem ta historia z zeszłego listopada.

Słyszałeś o tym?

– Różne wersje.

Margaret przystanęła, rozejrzała się i wzięła mojego pana za rękę.

– Brak słów, po prostu brak słów. – Biła od niej żywiołowa radość, odświeżające antidotum na surową posępność Elsynoru. Idąc dalej, przez labirynt korytarzy i dziedzińców, opowiadała przyciszonym głosem: – To było naprawdę straszne. Znaleźli je w krypcie, trzy tuziny beczek, może nawet więcej. Czysty proch strzelniczy. Tutaj, prawie pod naszymi stopami. Potem zaczęły się śledztwa, straszne tortury, nakazy sądowe i procesy. Uczestniczył w nich sam król, ukryty za zasłoną. Wyobrażasz to sobie? Wszyscy na dworze byli okropnie zdenerwowani. Nikt nikomu nie ufał. A potem te egzekucje. Boże jedyny... Nie chodziłam na nie. Podobno gromadziły się tam całe tłumy, ludzie chcieli oglądać ćwiartowanie. Makabra, makabra. Ale gdyby im się udało, tym spiskowcom? Nie wiadomo, jak by się to wszystko skończyło. – Weszliśmy do komnaty, w której

płonął ogień. – Rozstałeś się z nim w niezgodzie, tak?

– Z kim?

– Ze swoim współnikiem. Wiem, jak zaczynają się takie spory. Dwaj szklarze ze Strandu pokłócili się o recepturę, aż jeden z nich trafił ostatecznie do Newgate. Skradziono jakieś sekrety? – zapytała podekscytowana. Mój pan zmarszczył brwi. – Biedaku, nie będę wyciągać z ciebie tajemnic. Straszna ze mnie plotkara. Poczekaj tutaj, ogrzej się trochę. – Wahała się przez chwilę. – Mój znikający lekarz i jego uśmiechnięty pies. To zdumiewające, jak mało się zmieniłeś – dodała, po czym opuściła komnatę.

*

– Pokaż mi się – rozbrzmiał męski głos.

W komnacie, do której nas wprowadzono, panował półmrok i było tu tyle ozdób i ornamentów, że nie zauważyłem mężczyzny siedzącego w rogu. Nad wymyślną koronkową kryzą widniała jasna plama szerokiej, nalanej twarzy, oczy o ciężkich powiekach i rzadka broda. Miał piękną szatę z aksamitu, układającą się w skomplikowane fałdy, ale roztaczał dokoła kwaśną woń zepsutego sera. U jego stóp leżała suka, wilczarz. Popatrzyła na mnie, a ja pozdrowiłem ją machnięciem ogona. Zmierzyła mnie tak pogardliwym wzrokiem, że aż się zawstydzilem.

Mój pan postąpił krok do przodu.

– Panie...

Mężczyzna, król Jakub, jak się wkrótce dowiedziałem, spojrzał na pergamin, który podał mu mój pan. Zapisał go swym równym pochyłym pismem, kiedy płynęliśmy przez

Morze Północne.

– Pracowałeś we wszystkich tych pałacach?

Król sepleniał lekko, jakby język nie mieścił mu się w ustach. Jego dłonie pokrywała warstwa brudu, tylko czubki palców zachowały naturalny kolor.

– Na różnych dworach europejskich. I tutaj, w Whitehall, także. Służyłem sześć lat twojej kuzynce, panie, królowej.

– Więc znasz ten pałac lepiej niż ja. Chemia? Czy to magia, której używają czarownice? Żeby przywoływać burze z powietrza?

– Z całym szacunkiem, panie, ale to nie jest chemia. Chemia to nauka. Rozsądna i logiczna. Nie jestem magikiem.

Król ponownie spojrzał na pergamin i uniół brwi, zdumiony.

– W Persji też? Naprawdę?

– Tak, panie. W pałacu Ismaila w Tebrizie.

– W Persji? – powtórzył z niedowierzaniem. – Przecież to na drugim końcu świata. Tam już na pewno jest magia, prawda?

– Raczej matematyka. Persowie mają mądrość w kościach. Starożytną mądrość. Tam, przy jedwabnych drogach za pustynią, poznałem tajniki mojego rzemiosła lepiej niż w jakimkolwiek innym miejscu.

W kolejnych latach często słyszałem, jak mój pan opowiadał o Persji, Tebrizie i matematyce, i zawsze wtedy się rozpromieniał.

– Ile już przeżyłeś lat, żeby dorobić się takiego życiorysu? – spytał król.

– Pięćdziesiąt – odparł szybko mój pan, choć zabrzmiało

to raczej jak pytanie. – Mniej więcej.

Król odsłonił w uśmiechu zęby, które podobnie jak jego dłonie straciły swą naturalną barwę. Podniósł się ciężko z fotela i ruszył w moją stronę. Nie był stary, ale chwiał się na nogach; wyglądał całkiem zwyczajnie, jak uliczny sprzedawca w eleganckich ubraniach. Przysunął dłoń do mojego nosa, pozwalając, bym ją powąchał. Z czystej uprzejmości wciągnąłem w nozdrza zapach atramentu i kału.

– Witaj w Whitehall – zwrócił się do mojego pana, dając mu w ten sposób znać, że rozmowa zakończyła się pomyślnie.
– Ty i twój pies.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).